

ALBATROS

M.A. Kuzniar

Kiedy spadnie pierwszy śnieg,
ona będzie wolna...

ZAKŁĘTA w ŁABĘDZIA



Tytuł oryginału:
UPON A FROSTED STAR

Copyright © M.A. Kuzniar 2023
All rights reserved

M.A. Kuźniar asserts the moral right to be identified as the author if this work

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2024

Redakcja: Marek Szpanowski

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Charlotte Phillips at HQ2021

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku okładki polskiej:
Kasia Meszka / Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Bale zaczynały się zawsze tak samo.

Gdy wieczór gęstniał i z godziny na godzinę połykał ostatnie przebłyśki dnia. Gdy zima wyśpiewywała szeptem swą lodową pieśń. Gdy powietrze smakowało obietnicą śniegu.

Wtedy i tylko wtedy otwierały się wspaniałe wrota rezydencji górującej nad skalnym urwiskiem.

Zaproszenia nie miały adresu. W pobliskim sennym miasteczku nikt o niczym nie wiedział. Termin zmieniał się każdego roku. A mimo to przez otwarte drzwi wlewały się tłumy bogatych, olśniewających i zaintrygowanych gości.

Zaczynało się od zachwyconego dreszczyku podniecenia, mulsujących jak szampan emocji, mrowienia wyobraźni. W ciągu kilku godzin po Londynie rozchodziła się wieść, hipnotyzowała zapowiedzią nocy innej niż wszystkie, nieodpartą potrzebą, aby zobaczyć ją na własne oczy. Kończyło się, kiedy brzask rozlewał się po niebie jak wino, a zamroczeni goście jeszcze długo zataczali się po królestwie baśni i dekadencji, w które zabłądzili. A nazajutrz? Nie mijała nawet minuta od chwili, gdy ostatni balowicze przekroczyli próg rezydencji, a drzwi z powrotem zamykały wstęp do swojego świata.

Bale należały do świata baśni i legend. Były zbytkiem zrodzonym z niepoklaskanych marzeń.

A niekiedy z obsesji.

Rozdział pierwszy

Pewnego listopadowego wieczoru, kiedy po Londynie szalał wicher, a Tamiza prawie całkiem zamarzła, Forster zastanawiał się, czy nie ciąży na nim przekleństwo.

Rozpoczął dzień, siedząc na zlewie kuchennym ze szkicownikiem opartym niewygodnie na kolanie i próbując uchwycić akasmitny blask słońca sączący się przez okno sutereny i ściekający po szklankach do whisky, które zostały z poprzedniego wieczoru. Jak roztopione masło. Niestety, w połowie jego usiłowań światło zmieniło położenie i Forster porzucił te daremne próby. Rozpoczął, po czym przerwał, znudzony, pięć kolejnych szkiców, aż w końcu późne popołudnie wypełniło suterenę głębokim mrokiem, współgrającym z jego nastrojem zniechęcenia i apatii.

Wkrótce potem mały zegar kominkowy wydzwonił szóstą i przypomniał Forsterowi o spacerze, który zwykle odbywał o tej porze ze swym współlokatorem, więc wybiegł na rześkie wieczorne powietrze.

Listopad wtargnął do Londynu niczym burza, pokrył szronem wieże i kopuły, a w Forsterze wzbudził dziecięcą tęsknotę za śniegiem. Podsycił ją zapach pieczonych kasztanów, dolatujący znad nabrzeża. Ruszył na poszukiwanie straganu z gorącymi przysmakami i rozstawszy się z kilkoma monetami, poszedł w stronę najbliższej ławki, ogrzewając sobie dłonie papierową torebką. W kałuży światła rozlanej na bruku przez samotną latarnię patrzył

na łódzie przepływające po rzece, całkiem jak jego myśli. Forster zapragnął, żeby choć jedna z nich rzuciła kotwicę. Może powinien nauczyć się żeglugi? Mógłby kupić małą łódź do remontu, nauczyć się ją naprawiać i polerować, aż będzie lśnić na wodzie niczym perła, a potem leżałby na pokładzie i obserwował gwiazdy rozprysnięte na dachu świata. No tak, ale co z jego postanowieniem, aby poświęcić życie sztuce? Przez cały rok próbował rozniecić w sobie iskrę natchnienia, lecz muzy się od niego odwróciły i jego szkicowniki wypełniała prawdziwa plaga na wpół ukończonych rysunków. Zupełnie jakby jakaś złośliwa siła skazała go na wieczne niespełnienie. Niekiedy jego prace stawały się ciałem i wdzierały się w jego sny – kobieta bez twarzy, niedokończone miasto, do połowy naszkicowany mężczyzna. Koszmary przybrały na sile, kiedy zbliżały się jego urodziny. Dwadzieścia dziewięć lat. Kolejne dziesięć lat minęło jak z bicia strzelił, a on nadal niczego w życiu nie osiągnął.

– Jeszcze chwila takich rozmyślań i twój mózg stanie w płomieniach – wyrwał go z zadumy znajomy głos.

Obok ławki stał jego współlokator, Marvin.

– Czy ty nigdy nie bywasz niezadowolony z życia? – odparał pytaniem Forster.

Marvin przyjrzał mu się mętnoniebieskimi oczami. Koniuszek nosa zaróżowił mu się od kłębów wydychanego powietrza.

– O co chodzi tym razem? Piszesz wspaniałą powieść? Zostajesz kuchmistrem? A może... – Podkraśl z torebki pieczonego kasztana i zaczął go obracać w palcach, jakby szukał natchnienia. Nagle spojrzał na rzekę i oczy zabłyśły mu łobuzersko. – Wiem: odpływasz łodzią w siną dal.

– Nic z tych rzeczy – skłamał Forster, wkładając do ust kolejny miękki jak masło kąsek o smaku Bożego Narodzenia. Powściągnął niespodziewaną pokusę, która podsunęła mu w myślach wizerunek

samemu sobie malującego składnikami kulinarnymi i piszącego przepisy wierszem. – Po prostu przechodzę kryzys natchnienia, to wszystko.

Marvin westchnął z podobnym znużeniem jak jego towarzysz.

– Ech, to tak samo jak ja, starszku. Arthur odrzucił dzisiaj wszystkie moje pomysły. Potrzebuję czegoś błyskotliwego, żeby pożałował, że mnie nie docenił. Rzecz w tym, że każdy pomysł, jaki przychodzi mi do głowy, albo ktoś już wymyślił, albo napisał znacznie lepiej, albo miał wiarygodniejsze źródło. Zbrzydło mi uganianie się za ochłapami.

Forster głęboko solidaryzował się z Marvinem. Poznali się, kiedy Forster przeprowadził się do Londynu z rodzinnego Northampton i szukał przyzwoitego pokoju ze współlokatorem, który podzieliłby z nim koszty czynszu, dzięki czemu mógłby żyć spokojnie ze swojego skromnego beneficjum, a w tym czasie zdecydować, co pocnie z własnym życiem. Za młodu jego głowę wypełniały tysiące marzeń i pomysłów; był przeświadczony, że otwierają się przed nim nieskończone możliwości. Może zostać żołnierzem i w świeżo wykrochmalonym mundurze i wypucowanych butach nieustraszenie pomaszerować na wojnę? Może wyjechać do Paryża, aby w świecie artystycznej bohemy malować obrazy, które zawisną na ścianach galerii? A może kupić wspaniałą rezydencję i wypełnić ją rodziną, która będzie się do niego uśmiechać, gdy tylko wejdzie do pokoju? Teraz dobiegał trzydziestki, w pamięci miał nadal wyryte obrazy prawdziwej wojennej grozy, mimo że nie walczył na froncie, a za sobą dziesiątki porzuconych pasji. A ponieważ został pozbawiony związków z prawdziwymi krewnymi, Marvin był jedyną osobą, którą mógł uważać za rodzinę. Przedstawił ich sobie w styczniu dwa lata temu kolega Forstera ze szkolnej ławy. Marvin chował to samo głębokie pragnienie, by dorobić się znanego nazwiska, tak więc nie minęło wiele czasu,

a między początkującym dziennikarzem i aspirującym artystą zawiązała się silna nić przyjaźni.

I zgodnie ze swoim wieczornym zwyczajem spacerowali właśnie bulwarem nad Tamizą. Brzegi rzeki spowijała gęsta mgła, która prześlizgiwała się między uliczkami, okręcała wokół latarni i wysysała ich migoczący blask.

– Cóż za złowieszczo gotycki wieczór. – Marvin podniósł grubo wełniany kołnierz, dygocząc w płaskim kapeluszu, który w jego wyobraźni upodabniał go do Bustera Keatona, typowego miejskiego salonowca.

Przed nimi majaczył imponujący budynek Parlamentu. Zachowali bezpieczny dystans na wypadek, gdyby od ściany budynku znowu odpadł kamienny blok, tak jak to się stało kilka lat temu na Wieży Wiktorii. Forster podniósł wzrok na oświetloną tarczę zegara, a wtedy koło jego ucha przemknęło coś białego z szepczącym świstem. Było za lekkie i zbyt miękkie na kamień, więc wykrzyknął odruchowo:

– Oho, pada śnieg!

A jednak nie miał racji, podobnie jak wiele razy wcześniej w tym roku.

Zdjął kapelusz i zmrużył oczy we mgle. W powietrzu wirowały setki eleganckich jak łabędzie papierowych zwitków.

– To małeńkie papirusowe zwoje! – zauważył na głos. – Obwiązane wstążeczką.

– No to przestań się gapić i łap je.

Przytrzymując kapelusz na głowie, Marvin podskoczył i próbował chwycić tajemnicze przedmioty, lecz ku jego frustracji zwitki zatrzepotały na wietrze i odleciały w noc.

Forster roześmiał się, wyciągnął rękę i bez trudu złapał jeden ze zwojów. Marvin zmarszczył brwi i niecierpliwym gestem ponaglił go, żeby przeczytał treść. Ale Forster, który nauczył się delek-

tować każdą drobną chwilą radości, niespiesznie rozwiązał czarną wstążeczkę, zwrócił uwagę na delikatny aksamit i dopiero potem rozwinął małą rolkę. Papier był gruby, luksusowy, co jeszcze bardziej podsycało jego ciekawość. Przeczytał zawartą w środku wiadomość na głos:

Druga gwiazda na prawo i dalej prosto aż do rana.

– Hm, to dość osobliwe – mruknął do siebie. – Ciekawe, czy w każdym jest ten sam cytat.

Zaczął polować na zwoje i otwierać je coraz szybciej. Przestał po rozwiązaniu czwartego. Wszystkie były identyczne.

– Co to może znaczyć? – zapytał, odwracając się do przyjaciela. – Myślisz, że to ulotka jakiegoś przedstawienia? Albo powieści? Dość dawno temu czytałem *Piotrusia Pana*... – Urwał.

Marvin patrzył na zwitek z głębokim namysłem i dziwnie milczący.

– Ja wiem, co to znaczy – oznajmił w końcu.

Rozdział drugi

– Mówiłem ci, że będzie warto, staruszkule – zaskrzeczał triumfalnie Marvin niczym zagubiony chłopiec, którego strój na sobie nosił.

W drzwiach porwał ich natychmiast wartki nurt tłumu.

Forster wyciągał szyję, chłonąc widoki sklepień, pod którymi tańczyli akrobaci w olśniewających strojach. Od czasu do czasu któryś szybował na trapezie jak spadająca gwiazda.

– Nadal nie rozumiem, jak tu trafiłeś. Zwoje nie zawierały adresu ani żadnych innych wskazówek.

– Dwa lata temu usłyszałem krążące pogłoski o balu odbywającym się w tajemniczej rezydencji na klifie – odparł Marvin. – Zaproszenia zostały napisane na muszlach, które pływały we wszystkich fontannach Londynu. Widniał na nich tylko napis: *Przyjdź na Bal Królowej Mórz*, ale towarzyszył mu adres. Tej właśnie rezydencji.

– I ludzie przyszli?

– Tyłu, że rok temu w listopadzie, kiedy zaproszenia wytłoczono stemplem na papierowych torebkach z pierniczkami rozdawanymi z wózków na Regent Street, do wskazówek nie dołączono już adresu. Wtedy pierwszy raz byłem na tym balu. Dzisiaj zjawi się tu każdy, kto w tym mieście coś znaczy.

Marvin przerwał, bo właśnie podszedł do nich kelner z maską krokodyla na twarzy i ciałem pomalowanym na oliwkowo, oferując im tacę z koktajlami. Marvin wziął dwa kieliszki i skinąwszy

kelnerowi głową, wręczył jeden przyjacielowi. Forster wziął od niego drinka i zmarszczył czoło.

– A co robiłem ja, kiedy ty bawiłeś się rok temu na balu?

Po krótkiej chwili wahania Marvin wyjaśnił szeptem:

– Miałeś w tym czasie... problem z rodziną.

– Aha.

Forster poczuł w gardle znajomą gorzką mieszaninę smutku i żalu – organiczną reakcję, która powtarzała się za każdym razem, ilekroć wypływało na wierzch to wspomnienie. Aby odwrócić swoją uwagę od nieprzyjemnych myśli, wypił trochę z kieliszka, do którego przymocowano palmowy liść ze złotą nicią oraz małą notką zwisającą z łądźki, informującą, że złocisty trunek jest *magicznym pyłem*.

– Znaleźliśmy zaproszenie ze wskazówką o balu dzisiaj wieczorem. Jakim cudem ci wszyscy ludzie dowiedzieli się, że przyjęcie ma się odbyć tej nocy?

Przeczesując wzrokiem tłum, zauważył niewiele znajomych twarzy, chociaż Marvin włączył go ze sobą po tylu modnych londyńskich klubach i restauracjach, do ilu udało mu się zdobyć zaproszenie dzięki swojej profesji. „Gwiazda Londynu” była rozwijającym się tabloidem, który za wszelką cenę walczył o swoje miejsce w świecie prasy. Podobnie jak połowa miasta. Wojna się skończyła, nastała pora nowo wschodzących fortun. Wszystkie przyjęcia musiały olśniewać. Może jeśli będą świecić dość jasno i wytrwale, to mroczne okopy zbiorowej pamięci zatoną w tym świetle.

– Każdy, kto znalazł zaproszenie, zadbał, żeby dowiedzieli się o nim odpowiedni ludzie. Wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

– Owszem – potwierdził Forster w rosnącym ścisku, ponieważ ludzie zaczynali się niecierpliwić, by wejść do środka. – Kto właściwie organizuje te bale?

Marvin z roztargnieniem wzruszył ramionami, a jego uwaga

poszybowała w kierunku grupki wrózek ze skrzydłami mieniącymi się w podmuchu arktycznego powietrza.

– Nikt tego nie wie. Słyszałem, że pierwsze przyjęcia były znacznie skromniejsze i zaczęły się w czasie wojny, ale sam wiesz, jak to jest: jedni mówią jedno, inni utrzymują co innego. Za dużo narosło plotek wokół tej historii, żeby dało się ją rozwikłać. Tak czy inaczej, najwyższa pora, żebyś pozbył się tej minorowej miny, którą ostatnimi czasy przyoblekasz. Rozchmurz się. Pij, tańcz, żyj. To jedna taka noc na milion, Forster.

To mówiąc, Marvin wyciągnął ramiona w górę i rozpostarł je z bojowym okrzykiem dokładnie w chwili, kiedy wkroczyli do sali balowej.

Tłum się rozstał i Forster zobaczył bijące serce przyjęcia. W szampańskiej lagunie, w samym środku dżungli paproci otaczających salę balową, szaleńczego bicia bębnów i chat, w których gromadzili się goście, stała ogromna rekonstrukcja statku pirackiego *Wesoły Roger*. Forster na moment oniemiał. W przeciągu jednej nocy został wyrwany z uścisku bezlitosnej nudy i wrzucony w świat musującej magii. W jego żyłach popłynął prąd elektryczny. Miał wrażenie, jakby przez całe życie chodził we śnie, który był płótnem pozbawionym kolorów, a teraz nagle wreszcie ocknął się na jawie roziskrzonej rzeczywistości.

– Jedna noc na milion!

Marvin wychylił resztkę swojego magicznego pyłu i jednym płynnym ruchem sięgnął po kolejne dwa kieliszki.

Forster poprawił okulary i wypił trunek do dna. Dzisiaj zamieni się w jednego z zagubionych chłopców. Postrzępione, połatane ubranie i brudnozielona farba na twarzy nie będą kostiumem, tylko uzewnętrznieniem jego dzikiej duszy. Koktajl miał łagodny, aksamitny smak z odrobiną słodczy i tropikalnych owoców, których nie umiał rozpoznać. Kiedy Forster wychylił go do dna,

przyjęcie zadudniło jeszcze głośniej. Powietrze w budynku było wilgotne, jakby do wnętrza przeniesiono fragment lasu deszczowego. Między liśćmi palm migotały maleńkie światełka i Forsterowi przemknęła przez głowę myśl, że to wróżki rozsypują nad głowami gości magiczny pyłek, który rozprasza wszystkie troski i lęki. Wymienili z Marvinem szerokie uśmiechy.

Forster obawiałby się, że to sen, gdyby nie czuł się tak pełen życia jak nigdy dotąd. Budziło się w nim coś głęboko uspięnego, uchylało oko po długim śnie.

Rozległ się gromki śmiech Kapitana Haka, którego grupka Zagubionych Dziewcząt złapała w pułapkę z sieci wiszącą na jednej z palm i ukradła mu hak. Po szampańskiej lagunie proste, chałupniczo sklecone drewniane tratwy płynęły w kierunku pirackiego statku, gdzie urządzono parkiet do tańca. Dookoła mężczyźni i kobiety ze skrzydłami chochlików wlekli za sobą strzępki konwersacji:

- Widziałaś gdzieś gospodynię?
- Nie, gdzie ona jest?
- Słyszałem, że to nieprzyzwoicie bogata dziedziczka...
- Doprawdy? Mnie ktoś zapewniał, że gospodarzem jest zamorski książę...

Za oknami śnieżyło. W Londynie nie spadł ani jeden płatek śniegu, lecz w tym miejscu, oddalonym od miasta zaledwie o godzinę drogi, świat spoczywał w niezłomnym uścisku zimy. Ziemię pokrywała gruba warstwa białego puchu. Tutaj Forster był wiecznie młody. Piotruś Pan we własnej osobie.

Krążył po przyjęciu, przystanął obok połykacza ognia, który wypisał płomieniami – *Nigdy nie dorośnij*. Nie zamierzam, pomyślał, chwytając następny kieliszek. Będę żył tą chwilą przez całą wieczność, dopóki świat przestanie krwawić i...

Nagle wróżka ze skrzydłami zroszonymi światłem księżyca

wsunęła mu w dłoń pergamin.

– Powodzenia – powiedziała i puściła oczko.

Spojrzał na swoje dłonie. Trzymał w palcach poplamioną piracką mapę o poszarpanych brzegach, z miejscem na środku oznaczonym krzyżykiem. Wybuchnął śmiechem i ruszył tropem wskazanym przez mapę. Wkrótce dołączyła do niego jedna z Zagubionych Dziewcząt o ciepłej brązowej skórze i miodowych oczach, które maskowały widoczne upodobanie do rywalizacji. Ścigali się przez rosnące rozpasanie, podsycane działaniem magicznego koktajlu, aż w końcu Forster, zataczając się, wskoczył w biegu na jedną z tratw. Związane bale podskakiwały na szampańskiej lagunie, jakby chciały go zrzucić, lecz przyłgnął do pokładu niczym do grzbietu dzikiego konia. Goście na sąsiednich tratwach wiwatowali, zanurzając w lagunie puste kieliszki, aby je ponownie napełnić.

– To było wyjątkowo nieeleganckie z pańskiej strony! – Zagubiona Dziewczyna na brzegu roześmiała się.

Rozglądając się na czworaka po tratwie, Forster zauważył na środku wyraźny kwadratowy zarys. Kłapa. Otworzył ją z okrzykiem zaskoczenia.

– Proszę o wybaczenie! – zawołał, sięgając do środka skrytki. – Wygląda na to, że dotknęła mnie gorączka złota. – Wyjął z otworu złote sztabki.

Zagubiona Dziewczyna wskoczyła do szampańskiej laguny i podeszła do tratwy. Dalsze śledztwo wykazało, że złote opakowanie sztabek skrywa w środku grube bloki ciemnej czekolady. Jakies chochliki zeskoczyły ze swojej tratwy i zaczęły pływać w lagunie, a w tej samej chwili niczym kanonada obłąkanej armaty rozległ się wystrzał fajerwerków. Cała sala balowa rozbłyskiwała milionem spadających gwiazd i przez mgnienie oka Forster prawie wierzył, że wpadł do króliczej nory.

Podczas gdy wielki szafkowy zegar wybijał kolejne godziny, Forster pił i tańczył, i znowu pił do późnej nocy. Nagle z sufitu spadła jedna z gwiazd w kostiumie lśniącem jaśniej niż słońce. Wylądowała na sterze *Wesołego Rogera* przy wtórze nowej fali fajerwerków.

To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał z wieczornych hulanek.

W lagunach płynął szampan, Piotruś Pan i Wendy Darling stukali butami po pokładzie Wesołego Rogera, a Zagubione Dziewczęta w pelerynach z futrzaną lamówką ocierały się o sekrety nocy. Moją rezydencję nawiedziły wspomnienia młodości, skradzionych pocałunków, marzeń o miłości, które rozdzierają serce. Na jedną zaczarowaną noc świat leżał u naszych stóp, urzekający, roziskrzony wieczną nadzieją.

Kim byłam?

Byłam kobietą istniejącą dla blichtru i marzeń. Duchem zjawiającym się o północy w najmroźniejszą zimę. Jutro już mnie tu nie będzie. Lecz dzisiaj chcę pić szampana, dopóki w moich żyłach nie popłyną musujące złote strumienie. Tańczyć, póki lód w moim sercu nie stopnieje. Całować, aż posinieją mi usta. I będę żyć do bólu.

Rozdział trzeci

Cztery tygodnie później na Londyn spłynęła świąteczna peleryna Bożego Narodzenia. Ulice migotały sznurami elektrycznego światła i każdy zaułek miasta buczał radością. Do Covent Garden wtoczyły się samochody załadowane zielonymi drzewkami na sprzedaż, na stację Paddington przyjechały wielkie worki świątecznej poczty, a rodzice ustawiali się w kolejkach na świątecznym jarmarku przed domem towarowym Gamages w Holborn, żeby kupić swoim pociechom gry i zabawki, o których marzyły.

– Dokąd właściwie idziemy? – Forster potarł dłonią kark, żeby rozmasować napięte w korkociąg mięśnie po kolejnym dniu gapienia się w pustą kartkę. Wcześniej godzinami zmagał się z twórczą niemocą, a jednocześnie marzył o spadających gwiazdach oraz o twarzy, która rozbłyskała i gasła w jego snach niczym miraż.

Marvin zapalił tureckiego papierosa. Dookoła rozszedł się słodki, lekko ziemisty zapach habanity, jakby stali na arabskim bazarze w Maroku, podziwiając skórzane pantofle i egzotyczne przyprawy, a nie szli na dół po schodach w podziemne trzewia miasta. W stojącym zatęchłym powietrzu tętniło dudnienie dalekich pociągów pędzących labiryntem tuneli.

Forster zorientował się przestraszony, że Marvin od dłuższej chwili coś do niego mówił.

– Zauważyłeś, jak ten bal przebierańców w zeszłym miesiącu otumaniał ludzi? – perorował. – Gawiedź ciągnie do takich podniet.

– Zatoczył papierosem łuk, aby podkreślić doniosłość swojego spostrzeżenia. – A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym samym stopniu co samo przyjęcie ciekawi ich, kto weźmie w nim udział. Pomyśl tylko: wszyscy pozbywają się zahamowań, odsłaniają duszę po kilku drinkach. Wychodzą na jaw wszystkie brudne sekreciki. Ludzie są spragnieni pikantnych szczegółów takich imprez... nie, nie, raczej szczegółów o ludziach, którzy bywają na tych przyjęciach. Myślę, że to naturalne; w końcu z tego samego powodu łoże w teatrze są bardziej zwrócone do widowni niż do sceny.

– Myślę, że uczestnicy tego balu są czymś w rodzaju bogów współczesnej śmietanki towarzyskiej. – Forster zastanawiał się przez chwilę, czy nie byłby to mocny materiał na obraz, lecz odrzucił tę myśl. – Więc co sugerujesz? Chcesz zostać powiernikiem sławnych i bogatych, zawsze obecnym we właściwym miejscu i właściwej porze? To śmiały pomysł, nawet jak na ciebie. Poza tym twoje zaufane źródła wyparują w tej samej chwili, kiedy napiszesz o nich w gazecie. Zresztą myślałem, że chcesz się raczej zajmować polityką. Skąd ta nagła zmiana?

Pociąg zatrzymał się z ogłuszającym łoskotem i Marvin z Forsterem wsiedli do wagonu. Stanęli bliżej siebie, żeby kontynuować rozmowę.

W głosie Marvina zadźwięczała irytacja.

– Gazeta odchodzi od swoich politycznych korzeni. W obliczu zmian, które zachodzą, lepiej zrobić, zostając felietonistą rubryki towarzyskiej, żeby wyrobić sobie nazwisko. Będę zbierał smakowite kąski od dobrze poinformowanych źródeł, brał udział w modnych wydarzeniach towarzyskich, a następnie je opisywał, dopóki nie uda mi się wspiąć odpowiednio wysoko, by pisać o tym, co mnie naprawdę interesuje. Wezmę na cel ludzi, którzy pragną się

znaleźć w centrum uwagi, na czym skorzystają obie strony.

Forster skinął głową.

– Brzmi rozsądnie.

Chociaż cieszył się, że przyjaciel wytyczył sobie wyraźną ścieżkę, to zazdrościł mu tej pewności siebie i poczucia celu. Bal w rezydencji na klfie poruszył nim do głębi i z początku Forster miał nadzieję, że zaowocuje dla niego nowym natchnieniem. Że otworzy pierwszą stronicę nowej historii. Niestety, nadzieja okazała się płonna. Od czasu przyjęcia jego życie znów się skurczyło do monochromatycznej palety i ani jedno jego płótno nie miało w sobie nawet cienia tych szalonych barw, którymi pragnął nasączyć swój świat.

– Więc dzisiejsza misja służy jakiemuś celowi? – spytał.

– Mary Pickford i Douglas Fairbanks omal nie wywołali zamieszek wśród swoich wielbicieli, kiedy w zeszłym tygodniu zauważono ich w mieście – wyszeptał podekscytowany Marvin.
– Dowiedziałem się z pewnego źródła, że zamierzają się pokazać dzisiaj w Rector's Club.

Wyszli z pociągu przy Tottenham Court Road, gdzie czekała na nich Rose, oparta o słup latarni. Obaj mężczyźni poznali samowolną piękność salonów na przyjęciu charytatywnym w hotelu Claridge's, gdzie Marvin miał na zlecenie swojej gazety zebrać materiał. Rose Wright była przeuroczo dowcipna i zawsze chętna na wieczorne eskapady. Przyjrzała się im wielkimi bursztynowymi oczami. Marvin omiótł wzrokiem jej modnie upięte czekoladowe włosy, sukienkę robe de style w kolorze pochmurnego indygo, który Forster chętnie zamknąłby w swoim słoiczku z farbami.

Rose uśmiechnęła się do nich czarująco.

– Cieszę się, że się wam podoba. – Okręciła się w kółko, żeby sukienka balowa nabrała kształtu. – Zamówiłam ją depezą z Parry'ego i wyobraźcie sobie, że właśnie dzisiaj przyszła! Prawda, że

mają idealne wyczucie czasu?

Uśmiechnęła się jeszcze promiennie i nadstawiła obydwą łokcie. Forster i Marvin wzięli ją pod ramię z obu stron, po czym skierowali się do nocnego klubu.

Zajęli mały stolik w dalekim kącie sali, nakryty wykrochmalonym białym obrusem. Muzyka była hałaśliwa, synkopowa. Jazz, uprzytomnił sobie nagle Forster. Nowy styl całkiem niedawno przybył do londyńskich klubów z gorącego amerykańskiego Południa za pośrednictwem nielegalnych barów w Chicago i Nowym Jorku. Forster wyciągnął szyję, żeby zobaczyć grający zespół, ale ich stolik stał w niekorzystnym miejscu.

– Doskonały punkt obserwacyjny – oznajmił Marvin z przebiegłym błyskiem w oku. – Ludzie zawsze patrzą przed siebie, nie przyjmują do wiadomości, że ktoś ich może obserwować z tyłu.

– Już czuję dreszczyk emocji, mój drogi. Zupełnie jakbyśmy byli tajnymi agentami. – Rose zachichotała, poprawiając włosy. – Czy możemy zamówić drinki?

Marvin zerwał się na nogi.

– Ja przyniosę. Czego się napijesz?

Forster ukrył uśmiech. Tej zimy jeszcze bardziej niż kiedyś rzucały się w oczy zachwycone spojrzenia, jakimi jego przyjaciel obrzucał Rose. Nie potrafił natomiast ocenić, czy Rose ich naprawdę nie zauważa, czy też udaje aż taką skromną.

Po dwóch kolejkach cobblerów z ginem wszyscy tańczyli na parkiecie. Forster nie potrafił jednak odnaleźć tego elektryzującego dreszczyku, o jaki przyprawiła go szalona noc balu w rezydencji. Wrócił do stolika i pogrążył się w melancholii. Wkrótce nadejdą święta. Kolejne Boże Narodzenie spędzone w towarzystwie współlokatora, od czasu, gdy rok temu najbliższa rodzina stała się dla niego obca.

Z tych rzewnych rozmyślań wyrwał go Marvin, wciskając mu

do ręki kolejnego drinka.

– Zapomnij o nich. – Pochylił się nad stolikiem, przekrzykując dzwoniący w uszach jazz. – Jeśli nie umięją dostrzec, kim naprawdę jesteś, tym gorzej dla tych głupców. Zaslugujesz na coś lepszego.

Coś podeszło Forsterowi do gardła.

– Dziękuję. – Pociągnął długi łyk, po czym wskazał szklanką parkiet, gdzie Rose potrząsała włosami i ramionami w rytmie jazzowego tańca. – Widziałeś już gdzieś słynną parę?

– Nie. Wygląda na to, że moje źródło się myliło. Albo w ostatniej chwili zmienili plany. Mniejsza o nich, prędzej czy później wykiopię tu coś, o czym warto będzie napisać.

Forster skinął głową i oczy zaszyły mu mgłą. Może powinien był zostać w domu i malować wesołe świąteczne scenki, żeby je sprzedać na ulicach. Urokliwe georgiańskie domy z wieńcami na czerwonych drzwiach i oknami, z których blask wylewał się na ulicę. Dzieci z nosami i dłońmi przyklejonymi do wystaw sklepowych; pulchniutkie drozdy przycupnięte na oszronionych gałęziach drzew. W głębi ducha wiedział jednak, że wcale by tego nie zrobił. Poszedłby spać i czekał, aż znowu przyśni mu się ta noc. Szampańskie laguny i oszalałe bicie bębnow. Noc pełna magii, która wkradała się w jego myśli na jawie, aż opętała go bez reszty.

Bo może w którymś z tych snów przypomni sobie jej twarz.

Rozdział czwarty

Rose strząsnęła za okno tytoń z cygarniczki, a drugą ręką skręciła kierownicę, lawirując wąską, krętą uliczką.

Na tylnym siedzeniu Marvin złapał za swoją fedorę.

– Spokojnie, kobieto!

Forster wybuchnął śmiechem.

Rose puściła w lusterku wstecznym oczko do Marvina.

– Przepraszam, chłopcy, jeżdżę tak samo, jak piję.

Forster z radością uciekał z Londynu. Z dnia na dzień jesień ozłociła świat. Za miastem drzewa kwitły złotem, a powietrze smakowało leśnymi owocami. Wciągał je głęboko w piersi, podczas gdy pęd powietrza rozwiewał jego zaczesane loki. Prawdopodobnie było za zimno, żeby jechać z opuszczonym dachem należącego do Rose fordą T, lecz wspaniały rześki dzień był zbyt kuszący, żeby się przed nim zamykać. Z tyłu samochodu jechał przyczepiony pasami kufer z wszelkimi akcesoriami oraz wiktuałami potrzebnymi na przyjęcie urodzinowe Forstera, a na tylnym siedzeniu obok Marvina wielki kosz piknikowy, do którego Rose zabroniła im zaglądać, lecz od czasu do czasu dolatywał z niego cudowny zapach francuskiej *boulangerie*. Forster podejrzewał, że przyjaciel pod pretekstem pilnowania ukradkiem podskubuje apetyczne kąski.

Kiedy pojawiła się przed nimi masywna ściana lasu, Rose zwolniła i skręciła między drzewa. Pomalowane jesienną paletą liście

płoneły szafranową żółcią, tycjanowską ochrą, ognistą sjeną. Powietrze zgęstniało od zapachu wilgotnego mchu. Czas jakby zwolnił i gdyby nie terkot silnika na piaszczystej drodze, wdzierający się w tajemnicze, bijące serce lasu, Forster mógłby przysiąc, że przez jakąś szczelinę w upływie lat i epok przesłiznęli się w nieznany starożytny świat. Korony drzew zgęstniały, paprocie ocierały się o koła, dzień pociemniał. Wiatr wyszczerzył zęby i Forster zadygotał; otulił się szczelnie wełnianą marynarką, dla osłony przed jego zjadliwymi ukąszeniami.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał.

Rose odwróciła się do niego z zachwyconym uśmiechem, a Forster z niepokojem obserwował, jak prowadzi samochód, nie patrząc na drogę.

– Uważaj na ten pień – rzucił.

Rose ze swoim zwykłym stoickim spokojem skrzyła kierownicą.

– Przerażająco makabrycznie, prawda? Poczekajcie, aż zobaczycie resztę. Lada chwila powinniśmy być na miejscu. Uwaga... proszę bardzo!

Na końcu szerokiego podjazdu stał stary domek myśliwski należący do rodziny Wrightów.

Marvin wychylił się do przodu i przerzucił ramię nad oparciem Forstera. Obaj mężczyźni przyglądali się osiemnastowiecznemu budynkowi z czerwonej cegły z trzema esownicami u szczytu dachu, które wznosiły się na tle otaczających drzew niczym wieżyczki baśniowego zamku. Przez całe wieki las podkradał się coraz bliżej, a teraz sprawiał wrażenie, jakby przymierzał się właśnie do połknięcia całego domu; grube korzenie pełzały po splekanych dziedzińcu, a konary stukały w okna.

– Idealne miejsce na nasz urodzinowy weekend, nieprawdaz? – orzekła Rose. – Będziemy mieć dla siebie cały dom, równie zachwycająco melancholijny jak nasz drogi Forster.

Posłała mu w powietrzu pocałunek, a Marvin prychnął.

– Zajrzyjmy do środka.

Forster wyskoczył z samochodu i odwiązał kufer, po czym zostawił przyjacielowi naciągnięcie dachu i zabranie kosza.

W środku dom był mniejszy, niż można by się spodziewać, i zimniejszy, jak gdyby nad odrapanymi murami niepodzielne władały duchy. Rose zapalała świece, podczas gdy Forster wędrował od pomieszczenia do pomieszczenia, podziwiając ciemnozielone ściany i obrazy w staromodnych ramach.

– Dom pełen temperamentu – zauważył, żałując, że nie zabrał ze sobą szkicowników.

Tak rzadko ostatnio kończył rozpoczętą pracę, że jego notes z rysunkami zamienił się w papierowe muzeum, które dręczyło go ze stolika nocnego nietkniętymi stronicami, podczas gdy on jałowo trwoniał dzień za dniem, aż nagle zorientował się, że rok dobiega końca. A jutro rano, kiedy się obudzi, będzie miał trzydzieści lat.

– Trzydzieści lat i nic, czym mógłbym się pochwalić – skarżył się współlokatorowi nie dalej jak tydzień wcześniej.

Co podziało jak katalizator dla spisku, który uknuli Marvin i Rose.

Forster pozwolił im szeptać po kątach, licząc, że może zyska na tym dobrego szampana. Nie spodziewał się, że z tych potajemnych narad wykluje się cała podniecająca wyprawa do domku myśliwskiego. Jego przyjaciele byli jak światło gwiazd w najciemniejszą noc i serce wzbierało mu wdzięcznością.

– Nie widzieliście jeszcze najlepszego – oznajmiła Rose, kiedy dołączył do nich Marvin.

Pobiegła tonącym w półmroku korytarzem – tylko karmazynowa wstążka unosiła się za nią w powietrzu. Poprowadziła ich po jednych schodach, potem po drugich, krętych i wytartych przez upływ czasu, aż wreszcie stanęli na dachu, gdzie dom zamieniał się

w ruinę, za to przed nimi roztaczało się leśne sklepienie, niebo niczym roztopiony płomień oraz wspaniały jesienny zachód słońca.

– Niespodzianka! Zjemy tu kolację i uczymy ostatnią noc twojego pierwszego trzydziestolecia!

W przypływie fantazji włożyli ciepłe piżamy oraz cylindry, po czym usiedli na dywanie i zjadali grube kromki chleba posmarowane taką samą grubą warstwą solonego masła, grube kawałki ostrego cheddara, kremowego somerset brie i pomidory nadziewane ziołowym farszem. Całość zwieńczyli wielką tartą z jabłkami i finezyjną dekoracją z bitej śmietany. Popijali wszystko butelkami najlepszych roczników szampana, dopóki niebo nie przybrało atramentowej barwy. Forster położył się na plecach i z kieliszkiem w ręce obserwował gwiazdozbiory świejące jak klejnoty oprawione w korony drzew.

– Chciałabym tańczyć między gwiazdami. – Rose westchnęła z egzaltacją.

Często zadawała sobie dużo trudu, żeby wykreować siebie na romantyczną i frywolną, a zarazem mądrą nowoczesną kobietę. Forster ją za to uwielbiał. Doskonaliła swoją osobowość z takim samym artystycznym pietyzmem, z jakim on malował swe niedokończone płótna, lecz pod spodem biło najczulsze i najszczerze serce, jakie znał.

Marvin wyciągnął do niej dłoń, lecz Rose trzepnęła go po palcach.

– Chyba nie sądzisz, że po takim przejeździe mogłabym tańczyć jak kotka na dachu. Co będzie, jeśli spadnę i się zabiję?

Marvin teatralnie rozpostarł ramiona.

– Wtedy będziesz musiała mnie nawiedzać jako duch, żebym za tobą tak okropnie nie tęsknił.

Oczy Rose zrobiły się okrągłe, a Forster omal nie zakrztusił się szampanem.

– Wierzycie w zjawiska nadprzyrodzone? – spytał. – Mam na myśli duchy.

Zupełnie nieproszona, stanęła mu przed oczami wojenna mogiła jego ojca. Zastanawiał się, czy matka pamięta, że jutro ma urodziny. Czy będzie o nim myśleć? Przechylił głębiej kieliszek w nadziei, że bąbelki rozpuszczą grudę, która wyrosła mu w gardle na wspomnienie jej twarzy wykrzywionej w okrutnym grymasie. Jej chłód wobec syna narastał przez lata, powoli, aż w końcu wybuchnął ostatnim, okrutnym ciosem, po którym do tej pory Forster się nie podźwignął. Drżącą dłonią odstawił kieliszek i skupił się na tym, co mówiła Rose.

– Moja droga przyjaciółka, Letitia, odwiedziła w zeszłym tygodniu medium i była absolutnie pewna, że słyszała głos zmarłego brata, przemawiający ustami spirytystki.

Usiadła i nalała sobie kolejny kieliszek szampana.

– Większość z nich to zwyczajni szarlatani. – Marvin wziął od niej butelkę, żeby nalać sobie i dopełnić kieliszek Forstera.

Rose sęczyła trunek w zadumie.

– Nie jestem tego pewna, Marvin. Letitia nie powiedziała tej kobiecie ani słowa o biednym Davidzie. Skąd medium mogło wiedzieć, że powinno przemawiać z zachodnim akcentem?

– Może słyszała taki akcent w głosie twojej przyjaciółki i postanowiła zaryzykować – odparł cierpko Marvin.

Forster spojrzał z powrotem w gwiazdy.

– Niekiedy czuję, że musi istnieć coś więcej. – Był zmęczony czekaniem, aż coś się wydarzy, zmęczony rozczarowaniem, że nie osiągnął tego, co spodziewał się osiągnąć na tym etapie swojego życia.

– Hejże, staruszkule, melancholia cię dopada z powodu urodzin?

– Marvin go szturchnął. – Nie jest tak źle, jak się wydaje. Spójrz tylko na mnie, trzydzieści dwa lata, a przystojny jak zawsze!

Rose wybuchnęła śmiechem, a Forster się uśmiechnął. Marvin i Rose byli jego rodziną z wyboru. Uparli się, żeby urządzić mu urodziny, i wspierali go ze wszystkich sił bez względu na to, w którą stronę powiewał wiatr jego myśli.

O północy Rose zaprezentowała wspaniałą, bogaty tort z kremem czekoladowym i trzema świeczkami migoczącymi jak małe ogniska. Forster zdmuchnął płomienie, a przyjaciele nagrodzili go oklaskami.

– A teraz pomyśl życzenie, skarbie – poinstruowała Rose.

Forster patrzył, jak wstęgi dymu wiją się w aksamitnej nocy. Był październik i Forster niemal przez cały rok marzył we śnie i na jawie o twarzy, której nie mógł sobie przypomnieć i którą widział jednej jedynej nocy jedenaście miesięcy temu. Nie potrafił wyrzucić z głowy tamtej nocy ani tamtej twarzy i nie miał pojęcia dlaczego.

W głębi lasu o godzinie duchów, nabrzmiałej gwiazdami, skończył trzydzieści lat, zastanawiając się, czy ktoś rzucił na niego urok. Zamknął oczy i pomyślał życzenie: znowu ujrzeć tamtą twarz.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).